ROZMAITOŚCI.

Dnia 15. Kwietnia. № 15. Roku 1857.

POSŁUSZEŃSTWO.

Opowiadanie

przez

Józefa Korzeniowskiego.

Przed kilkunastu laty byłem świadkiem na Ukrainie sceny familijnej, która silne na mnie zrobiła wrażenie, i którą, jako nie pozbawioną właściwego nam charakteru, czytelnikom moim opowiedzieć pragnę.

W Skwirskim powiecie, w okolicy żyznej i pięknej mieszkał p. Jan Rolicki, który tam dość znaczny majątek, a razem przychylność i szacunek sąsiadów i współobywateli posiadał. Byłto szlachcic starej daty, mający wówczas, gdym go poznał, przeszło lat sześćdziesiąt, wysoki, chudy, zawiędły, ale jeszcze zdrów i pełen tej siły ciała, jaką daje życie czynne, na otwartem powietrzu i przy zatrudnieniu gospodarskiem, pełen oraz tej siły woli, jaką dawniej wyrabiał w ludziach takiej organizacyi nałóg rozkazywania żonie, dzieciom i poddanym, którzy nie śmieli wystąpić ani z perswazyą, ani ze sprzeciwieniem się słowu, wypowiedzianemu spokojnie, zimno, ale tak stanowczo, i takim tonem, że wszelka reklamacya byłaby daremną, a nawet niebezpieczną być mogła. P. Jan nosił się po polsku, i nic go nie mogło skłonić do zrzucenia tej sukni, w której wyrosł, która stała się niejako drugą jego skórą, i której zmiana zrobiłaby go zupełnie innym człowiekiem, nie takim, jakim był i za jakiego chciał aby go wszyscy mieli. — „Róbcie sobie jak się wam zdaje“ — mówił perswadującym mu sąsiadom — „a ja zostanę takim, jakim mię pan Bóg stworzył. Po co mam uchodzić za Francuza, kiedym nie Francuz, po co mam się oblekać gładką i pstrą korą brzozową, kiedym się urodził dębem, któremu jego szara i chropowata skóra lepiej do ciała przystaje, a może i przystojniej go okrywa.“ Takie pojmowanie rzeczy wyrażał zawsze strój jego poważny, w kolorach swych tak dobrany, że nie zdradzał żadnej pretensyi, nie okazywał zamiłowania błyskotek, owszem miał w sobie coś surowego, jak myśl i charakter tego, co go nosił. Codzienna kapota jego była ciemnosieraczkowa lub w lecie popielata, do kościoła, w gościnę i przy urzędowych wystąpieniach, brał żupan i kontusz popielaty lub czarny, ale obie te suknie były zawsze jednakowego koloru, pas był włóczkowy, najczęściej czarny, czapka wysoka rogata, także nie pstrego koloru i z czarnym barankiem. Patrząc na tę postać słuszną, wyprostowaną, imponującą, na tę twarz kościstą, wydatnych rysów i ozdobioną siwawym wąsem i zamarsowaną takiemiż brwiami, które obficie spadały na oczy siwe i przenikające; widząc to czoło niskie, najczęściej zmarszczone, okryte bielejącym się włosem, tę rękę potężną, której muskuły zdawały się być urobione z żelaza, której skórę twardą i szorstką spaliło słońce, trudno było wyobrazić go sobie w kusym fraku, w okrągłym kapeluszyku i w jasnych rękawiczkach. Nikt mu więc nie miał za złe, że nie szedł za powszechną modą, a choć kto i radził przebieranie się, w duchu przekonany był, że to prawie niepodobna, i z ukontentowaniem poglądał na ten dawny zabytek, który stał jeszcze sam jeden, silny i potężny jak kolumna, która pozostała ze świątyni rozwalonej, po której nawet gruzy umieciono, i na modne przerobiono altanki.

P. Jan nie był uczony, nie wiele czytał, do czego nie miał czasu ani usposobienia, ale był człowiek ze zdrowym sądem, z jasnym rozsądkiem, znający dobrze prawo miejscowe, sumienny w wypełnieniu obowiązków urzędów wyborowych, jakie piastował, używany często za rozejmcę w sądach polubownych, gospodarz akuratny, biegły, trochę za nadto przywiązany do grosza, ale nie mający na sumieniu swem niczyjej krzywdy, i we wszystkich umowach tak wierny i skrupulatny, że słowo jego starczyło za pismo, że mu nietylko sąsiedzi i przyjaciele, ale i żydzi handlarze ślepo wierzyli. Jakoż nie zawiódł nikogo, nawet w żadnej dostawie, do której się zobowiązał. A choć to często się zdarza na Ukrainie, że dla braku komunika-

cyi, dla dróg przepaścistych w jesieni lub na wiosnę najakuratniejsi chybiają, p. Jan nie chybił nigdy, i czego nie mógł odesłać na termin pańszczyzną, to odesłał dworskiemi fornalkami, używając do tego nie tylko folwarcznych koni, ale i swoich i żoninych, które zrzuciwszy pychę z serca, pszenicę i żyto ciągnąć musiały.

Miał już wówczas p. Jan lat czterdzieści, gdy się ożenił. Dziwnem zrządzeniem dostała mu się kobieta znacznie od niego młodsza, ładna, delikatna, w odmiennych zupełnie wyobrażeniach o subordynacyi domowej wychowana, a nawet trochę z romansowego stanowiska patrząca na życie, jego obowiązki i jego stosunki. Z początku usiłowała ona przerobić męża i według swej myśli i nabytych w domu rodziców widoków dom jego uorganizować. Wszakże wkrótce postrzegła, że wszystkie manewra pozornej uległości, upornego wracania z tymsamym projektem, wszystkie zabiegi małżeńskiej kokieteryi, interesowane umizgi, dąsy i polityczne odmowy do niczego nie prowadziły. P. Jan stał przy swojem, jak posąg wykuty z granitu, a uśmiechy i groźby, namowy i perswazye, dąsy i pieszczoty, odbijały się od jego piersi i padały bez skutku przy jego kamiennych nogach. Dała więc za wygraną pani Janowa, zaczęła sobie stopniami perswadować, że wszystko musi zostać po dawnemu; że w domu tym dostatnim, obfitującym we wszystkie istotne potrzeby, jakich stan zamożnego szlachcica wymagał, nie zmieni się nic na jotę ze staroświeckiego obyczaju; że nie ona tu panować i według swego widzimisię wszystko urządzać, ale w każdej rzeczy ulegać i gustom i nawyknieniom męża dogadzać będzie musiała. Raz przyszedłszy do tego przekonania, nawykła prędko do swej podrzędnej roli, a w miarę uległości znajdując w mężu coraz widoczniejsze objawy miłości małżeńskiej, troskliwości, dobroci i starania, aby wszystko miała, co według jego myśli dogodzić mogło, zaczęła sobie podobać w tym stanie zupełnie biernym, i święcie wykonywała obowiązki żony, a zwłaszcza matki, w czem już p. Jan tem więcej zostawiał jej woli, że Bóg dawał im tylko same córki.

Najstarsza Emilia miała usposobienie matki, jej miękką wolę, jej marzącą głowę, jej serce, któremu zachciewało się silniejszych wrażeń, gorącego uczucia i jakichściś w życiu wypadków, wychodzących ze zwykłej kolei i czarujących jej imaginacyą czemściś nowem i niezwyczajnem. Rózia o pięć lat młodsza od siostry miała wolę i energię ojca, widziała życie z prawdziwej jego strony, nigdy nie zadumana, nigdy nie wzdychająca do gwiazd i księżyca, była wesoła, czynna, gospodarna, i już w dwunastym roku życia wiedziała więcej niż matka i starsza siostra co się działo w domu, pamiętała więcej niż one obie o wygódkach starego ojca, a nawet o potrzebach matki i Emilii, którą najczęściej zajmowało czytanie i marzenie o niebieskich migdałach.

Dwie dziewczyny, pośrednie pomiędzy Emilką i Rózią pomarły, zostały więc tylko do ozdoby domu, dla pociechy rodzicom i spełnienia wszelkich nadziej starego, — który chociaż żałował, że mu Bóg nie dał syna, nigdy jednak tego poznać nie dał, — obie te panienki, jedna faworytka matki, druga źrenica w oku ojcowskiem. Jakkolwiek ta preferencya leżała na dnie serca i p. Jana i jego żony, oboje jednak pokrywali ją całą siłą miłości rodzicielskiej, i nigdy ani obcy, ani domowi, ani same panny nie spostrzegły tego, że jedna więcej matce, druga więcej ojcu przypadała do serca. Śliczneż bo, miłe i dobre były obie, a pomimo różnicy wieku, ukształcenia, a szczególniej mimo wybitnej różnicy charakterów kochały się serdecznie, i jedna za drugą w każdem zdarzeniu stawała murem, i gotowa była nawet narazić się na gniew ojcowski, gdy było potrzeba, co niemałego dowodziło poświęcenia.

Emilka była dość słusznego wzrostu, blondynka z niebieskiemi oczyma i niebieskiem wejrzeniem, biała i kształtna, powolna i często uśmiechnięta do tych marzeń zapewne, które się snuły po jej myśli. Najczęściej widzieć ją można było ze schyloną głową gdy się znajdowała wśród ludzi, a z podniesioną wtedy, gdy wieczorem stała sama w oknie otwartem swego pokoju, i patrzyła na niebo, lub słuchała szumu drzew, po których szeleścił wiatr ukraiński, przynosząc z daleka odgłos dumki, którą chłopcy spiewali na stepie, oblewającym w około wieś i ogród. Ojciec często ją łajał za to romansowe usposobienie, i wtedy matka, pojmując je dobrze, nie śmiała bronić córki, i miała tylko łzy w oczach, wtedy Emilka nie śmiejąc bronić się sama, całowała tylko jego rękę i obiecywała poprawę, wtedy tylko Rózia odważała się przemawiać za siostrą, karesując starego, który na nią patrzał z miłością, i zwykle się dawał rozzbrajać.

— „Czemu ty ojcze nie łajesz mnie“ — rzekła mu raz w podobnem zdarzeniu — „że się trzpioczę, że się śmieję, że spiewam i

szczebiotaniem mojem często ci przeszkadzam."

— „Bo to nic złego i nie zagraża dalszemu twemu życiu" — odpowiedział ojciec głaszcząc rumianą twarzyczkę czternastoletniej dziewczynki — „jak urośniesz, a przyjdą troski domowe i poważniejsze myśli obsiędą ci duszę, to przestaniesz trzpiotać się i szczebiotać nie będziesz, a wyjdziesz na kobietę, która w każdym razie da sobie radę.

— „Otoż widzisz ojcze" — mówiła wtedy Rózia, klaszcząc w rączki — „jak przyjdą dla Emilki troski domowe i ważniejsze myśli obsiędą jej duszę, to i ona przestanie patrzeć na gwiazdy i myśleć o niebieskich migdałach. A mnie się zdaje drogi ojczuniu! że równie jesteś niesprawiedliwym łając ją za to, że ona gwiazdy rachuje, dla tego że ty tego nie lubisz, jakby niesprawiedliwą była mama, gdyby mnie łajała za to, że skaczę, i świegoczę, jak wróbelek, dla tego, że ona tego nie lubi."

— „Strasznieś coś mądra!" — rzekł stary uśmiechając się pod wąsem i poglądając na żonę i starszą córkę, które ten rozum i ta śmiałość dziewczynki zastanawiały.

— „Gdzietam! gdzietam mądra!" — odpowiedziała wówczas śmielej jeszcze Rózia — „nie jestem ja mądra. Mały paluszek Emilci mądrzejszy odemnie całej. Tylko jestem od niej odważniejsza, i wiem, że jak ci powiem: drogi ojcze, nie gniewaj się na Emilcię za to, że ona ma jasne włosy, i nie łaj mnie za to, że moje ciemne, to pewnie mnie zrozumiesz i potem ją i mnie uściskasz i będzie zgoda. Nieprawdaż?"

— „Nieprawda moje dziecko" — mówił p. Jan, surowiej patrząc na zmieszaną dziewczynkę. — „Byłbym niedorzecznym, gdybym się gniewał na nią za to, że blondynka, lub na ciebie, że nią nie jesteś. Nikt nie odpowiada za takie rzeczy, które od jego woli nie zależą. Ale kiedy kto może, a nie chce, kiedy poddaje się samochcąc złemu, które mu kiedyś wyjść może na szkodę, lub nawet być przyczyną zguby, to nie ma w tem niesprawiedliwości ze strony starszego, który widzi złe, i z prawa starszeństwa i miłości ostrzega, że tak niedobrze, że tak nie należy, nie rób tego, przezwyciężaj się, bo mnie zasmucasz."

Ten ton poważny, a szczególniej to zakończenie tak przeniknęło Rózię że się rozpłakała, upadła do nóg ojca i przepraszając go za swą śmiałość przyrzekła, że sama czuwać będzie nad siostrą, że jej nie da zamyślać się i marzyć, jeżeli to tak na prawdę nie tylko gniewa, ale nawet zasmuca ojca, którego radaby widzieć zawsze dobrym i wesołym. Scena ta skończyła się pokojem domowym; Emilka rzeczywiście przezwyciężała sie jak mogła, matka przyglądała się pilniej dziewietnastoletniej córce, czy nie ma jakiej głębszej przyczyny tego jej rozmarzenia, a mała swojem rezonowaniem i sposobem, jakim rozbroiła gniew ojcowski, tem więcej jeszcze chwyciła go za serce, tak że często z boku poglądając na jej foremną główkę, na jej twarzyczkę pełną wyrazu i życia, na jej rozwijającą się postać, pełną wdzięku w każdem poruszeniu, odwracał się, aby ukryć wzruszenie i nie dać wziąść nad sobą góry słabości, którą dla niej poczuwał.

W rzeczy samej była przyczyna pochylająca do ziemi śliczną głowę Emilki, pełną od niejakiego czasu myśli nie rozprószonych już jak dawniej po gwiazdach nieba i obszarach ziemi, bez przedmiotu i formy, ale myśli skoncentrowanych, zebranych jakby w jeden snop promienny, który oświecał jedną tylko twarz młodzieńca, którego pokochała, i pozwalał jej czytać w głębiach jego poczciwego serca.

Młodzieńcem tym był niemajętny krewny samej pani Janowej, który we wsi, o parę mil ztamtąd odległej, miał kilkunastu poddanych, dworek staroświecki i dość ubogi, ogród i duży dziedziniec opasany rowem. Tam mieszkała i gospodarowała, jak mogła, matka jego, kobieta niezbyt czynna, niezbyt porządna, ale kochająca tego syna jedynaka nad życie i odmawiająca sobie wszystkiego, byle tylko miał się z czego utrzymać w uniwersytecie w Charkowie jej Tytusek, w którego głowie i sercu wszystkie swe nadzieje złożyła. Jakoż Tytus nie zawiódł dobrej tej kobiety, i od 1831 r. pracując usilnie i żyjąc ubogo i po studencku, ukończył wydział filozoficzny, i jako kandydat filozofii do domu i do roli powrócił. Trudno mu było bardzo z początku uregulować wszystko, co przez cztery lata zaniedbania i niedołężnego gospodarstwa kobiety dobrej, ale łatwowiernej i nieznającej się na wybiegach ekonoma, opuszczonem zostało. Wszakże młody człowiek przywykły do niedostatku, do ograniczania się minimum dochodu i wygód, odłożył na bok filozofią i książki, wziął się do roboty, i jakoś w przeciągu dwóch lat, przy sprzyjających okolicznościach urodzaju, połatał dziury, jakie zastał, i zdołał lepszem opatrzeniem potrzeb matki, oporządzeniem domku, jakiego-takiego ekwipażu i t. d., posta-

wić się na takiej stopie, że już bez wstydu mógł się wychylić w sąsiedztwo, odwiedzić z matką krewnych, i czasem bliższego gościa w domku swoim przyjąć.

Samo przez się rozumie się, że celem takich odwiedzin był przed innemi dom p. Jana Rolickiego, którego żona nie opuszczała nigdy krewnej swej, matki Tytusa, i w gwałtownych razach, w których biedna kobieta zmuszona była odezwać się do jej serca i zamożności, przychodziła jej zawsze z pomocą, i pocieszała przychylnem współczuciem. Odwiedziny te stawały się coraz częstsze, gdy p. Tytus poznał, zrozumiał, i pokochał Emilię, która ze swojej strony oceniając jego przymioty, polubiwszy obejście skromnego młodzieńca i rozmowę ukształconego człowieka, zaczęła go odróżniać od innej, gardłującej i jarmarkowej młodzieży, jaką ówczesne okoliczności wychowały, a nareszcie całą duszą do niego przylgnęła.

Matka przypatrując się usposobieniu córki swej, i dochodząc przyczyn wzrastającego coraz jej smutku i rozmarzenia, postrzegła prędko skłonność dwojga młodych ludzi, a znając dobrze męża swego, zasmuciła się sama i także głęboko zamyślać się zaczęła.

P. Jan jak to wyżej powiedziałem, przy wielu przymiotach, które mu powszechny szacunek jednały, miał trochę za wielkie przywiązania do grosza, i może mimo wiedzy i woli cenił także ludzi według stopnia ich fortuny i tej niezależności, jaką ona każdemu daje. Z biedniejszemi od siebie obchodził się on po ludzku i grzecznie, ale nie mógł się odpędzić od tego podejrzenia, że zasadą zbliżania się, nadskakiwania i wszelkich oznak przyjaźni i życzliwości, jakie biedny bogatemu okazuje, jest zawsze interes. Ztąd ostrożny i trzymający się zawsze obronnie względem tych wszystkich, którzy się do niego garnęli, mianowicie z krewnych żoninych, którzy byli prawie ubodzy; poufalej i śmielej obchodził się, jawniej i otwarciej sprzyjał tylko takim, o których był pewny, że w żadnym razie nie zakołaczą do jego szkatułki, i w niczem pomocy jego potrzebować nie będą. Na takiej samej zasadzie oparte były wszystkie jego widoki względem przyszłych zięciów, których zjawienia co moment się spodziewał, patrząc na dorosłą już i piękną Emilkę, lubując się wzrostem i dojrzewaniem piękniejszej jeszcze i powabniejszej od siostry Rózi. Często więc o tym ważnym przedmiocie rozmawiał z żoną, i z tych rozmów biedna ta matka nabrała tego przekonania, że skłonność córki jej jest daremną, że p. Jan mocno w głębi serca swego postanowił nie oddać jej tylko takiemu, któryby się bez jej posagu mógł obejść, że zatem dotrzyma tego, co postanowił, i że woli jego ani prośby żony, ani łzy córki nie złamią i nie ugną.

W takim stanie były rzeczy, takie myśli trapiły matkę, takie trwogi gnębiły serce Emilki, gdy się zjawił konkurent, który życzeniom i widokom ojca odpowiadał. Byłto obywatel około lat czterdziestu mający, nie zbyt wysokiego ukształcenia i niebardzo delikatnych uczuć, ale zamożny, na pozór nieinteresowny, mający, jak mówił, aż nadto dla siebie i żony i nie czyniący żadnej wzmianki o posagu. Po kilkunastu tygodniach bywania w domu, niezapytawszy się wcale panny, czy jest jej życzeniem podzielić się z nim całem życiem, oświadczył intencye swe ojcu, który je przyjął. Matka naturalnie przeraziła się tą zakomunikowaną sobie wiadomością, ale nie śmiejąc wyjawić prawdy mężowi, pokryła milczeniem wiadomą sobie skłonność córki, prosząc go tylko, aby jej sam wolę swą oznajmił. Emilka przestraszona, upadła do nóg ojcu, błagając go, aby nie zadawał gwałtu jej sercu, że ona p. Zenona zaledwie zna, że nigdy nie pomyślała nawet o tem że on pragnie jej przywiązania, że miała go po prostu za zwyczajną tylko znajomość, ale jej nawet do głowy nie przychodziło, aby była żoną człowieka, do którego najmniejszej nie czuje skłonności.

— „Namyślisz się“ — odpowiedział jej ojciec poważnie i surowo, dodawszy, że to jest postanowienie od którego nie odstąpi.

Na tem tymczasowie stanęło. Ojciec nie ponawiał propozycyi, p. Zenon bywał w domu, chociaż rzadziej, a miłość Emilki dla Tytusa, tą przeszkodą przewidzianą wprawdzie, ale w pierwszych złotych chwilach rozmarzenia nie zdająca się tak trudną do pokonania, podniesiona i rozżarzona, owładnęła całą jej duszę i podszeptywała myśl zuchwałą i zgubną, która kochającej się parze wydała się jedyną deską zbawienia.

— „Ojciec nie odstąpi za nic od swego postanowienia,“ — mówiła raz Emilka Tytusowi w jednej z chwil rzadkich, w których serca ich mogły się sobie wynurzyć. — „Próżnobym mu wyznała moją miłość dla ciebie, próżnobyś błagał i zaklinał się, że mi dasz szczęście i opiekę na całe życie. Jego wola silniejsza niż nasze łzy i prośby. Ojciec cię szacuje, zna twoje usposobienie i serce; ale jego wyobrażenia inne. On nie uwierzy ni-

gdy, abyś mógł mię kochać bez interesu, abyś się nie oglądał na mój posag i tę pomoc jakąbym miała z domu.

— „Wątpiszże“ — odpowiedział p. Tytus, trąc ze złością prawie szerokie swe czoło — „że pogardzam niepotrzebnym dostatkiem, że umiem żyć suchym chlebem i szklanką mleka, że nie potrzebuję, ja, dla siebie tych wszystkich wygód i błyskotek, w których ludzie bez głowy i serca zatapiają duszę. Ja dla siebie nie pragnę więcej jak mam; ale ty, jakżebyś przyzwyczaiła się do blaszannej łyżki, do wyszczerbionego talerza, do płócienkowej sofki, do bryczki bez resorów i materaca! Jeżelibym chciał mieć, to dla ciebie, moja najdroższa Emilio! to dla otoczenia cię tą wygodą, w jakiej wyrosłaś, i której ci miłość moja nie zastąpi.“

— „Nie zastąpi?“ — rzekła ze łzą w oku rozmarzona Emilia — „jeżeli tak myślisz, to idź, i zostaw mię memu losowi.“

— „Więc zastąpi!“ — zawołał w uniesieniu młody człowiek, tuląc do ust rękę kochanki — „więc podzielisz się mojem ubóstwem, wyrzeczesz się tego wszystkiego, co cię otacza? — O jeżeli tak, to chodźmy do matki, upadnijmy jej do nóg, i prośmy, niech zaniesie nasze życzenia, nasze serca, nasz los i życie całe przed trybunał ojca. Jeżeli ci pozwoli wyjść z domu, jak stoisz, w tej jednej sukience, którą schowam jak relikwię, aby mi przypominała tę drogą chwilę, to wezmę cię Emilio, natężę siły, abyś miała wszystko co ci potrzebne, abym przekonał ojca twego, że ludzi biedniejszych od siebie sądzi fałszywie, że egoizm jest prędzej wadą bogatych niż biednych, że mi idzie tylko o ciebie, o twą miłość, a nie o ten worek, na którym cię ojciec chce postawić, i który cię w oczach moich nie podniesie.“

Jak powiedzieli tak i zrobili. Przy pierwszej zręczności, gdy mogli rozmówić się z matką sam na sam, upadli jej do nóg oboje, wyznali swoje wzajemne uczucia i udali się pod jej opiekę i protekcyą. P. Janowa nie zadziwiła się wcale tem wyznaniem, ale rozpłakała się i załamała ręce, czując swą niedołężność i wiedząc dobrze, że ani jej prośby, ani perswazye na nic się nie zdadzą. Wszakże widząc stan opłakany i córki, którą kochała niezmiernie, i młodego człowieka, dla którego miała szczery szacunek i serdeczną życzliwość, przyrzekła sprobować, i odważyła się narazić nawet na gniew męża, który sobie tylko samemu przyznał wszystkie prawa dysponowania losem córki, nie dopuszczając współudziału matki, której może więcej niż jemu prawdziwe szczęście jej leżało na sercu. Byłato wielka pomyłka, za którą go pan Bóg surowo skarał.

P. Jan odpowiedział żonie, jak przewidywała. Nie rozgniewał się wprawdzie, ale tym tonem zimnym i stanowczym, który silniej niż gniew wyrażał moc i postanowienie jego woli, rzekł:

— „Moja kochana! nie kłopocz sobie głowy losem moich dzieci; to moja rzecz nie twoja obmyślić ich przyszłość, i postanowić tak, aby im było dobrze na ziemi. Romanse tu nic nie pomogą, i z mojego przekonania nic mnie nie wybije. P. Tytus jest porządny chłopak, ale nie mąż dla Emilki. Jej mężem będzie p. Zenon — i basta.“

— „Ależ mój drogi Janie!“ — mówiła płacząc żona — „czyż ja nie jestem matką, czy nie mam moich praw w stanowieniu o przyszłem szczęściu moich dzieci. Nie obrażaj pana Boga uporem, bo ja ci powiadam, że postanowienie twoje grzeszne, że dziecko twoje skażesz na łzy i tęsknotę całego życia.“

— „Wiem o tem“ — odpowiedział, chmurząc się p. Jan — „żeś matką, żeś mi te dzieci urodziła, i że je kochasz według swego romansowego kodeksu. Ale wiem też i to, że jako dobra matka, powinnaś je była wychować tak, aby umiały szanować wolę ojcowską, i aby święcie wierzyły, że nie to ich szczęście, co im się uroi, ale to co ojciec względem ich losu postanowi. Na tem więc będzie koniec. Proszę cię tylko, powiedz p. Tytusowi, żebym go tu więcej nie widział, a Emilkę uprzedź, aby p. Zenona, który tu za parę dni przyjedzie, bez żadnych grymasów jako narzeczonego przyjęła.“

Uczuła to obrażona i rozżalona matka że to był wyrok, od którego już żadna nie pozostawała nadzieja. Uwiadomiła więc dzieci o skutku swego poselstwa, a nie dając im żadnej rady, żadnej pociechy, położyła tylko ręce macierzyńskie na ich głowach, przycisnęła oboje do piersi, i zanosząc się od płaczu, zamknęła się w swoim pokoju.

Zostawieni tak sobie samym bez żadnej nadziei, bez żadnego ratunku, zagrożeni utratą tego wszystkiego co sobie wyobrażali dobrem, szczęściem, rajem na ziemi, mimo wiedzy i woli przyszli do ostateczności. Tytus pierwszy wymówił stanowcze słowo, a Emilka wiedząc że los jej już niczem zmienić się nie da, że nie dziś to jutro będzie musiała

zostać żoną człowieka, którego nie kochała, który nie ma tyle delikatności w sercu, aby się nie narzucać kobiecie, która go nie chce, zrozumiała to słowo od razu, zdawało się jej, że matka milczeniem swem i położeniem rąk na ich głowach upoważniła ją do jego zrozumienia, i zezwoliła na krok niebezpieczny, straszny dla każdej dziewczyny, i za który równie ona, jak i ci, co ją do niego zmuszają, odpowiadają przed Bogiem.

Na drugi dzień rano już Emilki nie było w domu rodzicielskim. O godzinie drugiej w nocy wyszła do ogrodu; za ogrodem czekał na nią powozik kochanka, a w nim jego matka. Tam drżąca od strachu panienka rzuciła się w objęcia jedynej teraz swej opiekunki, i w kilka dni potem była już żoną p. Tytusa.

P. Jan dowiedziawszy się o ucieczce Emilki, nie zadziwił się prawie, nie rozgniewał się, nie przedsiewziął żadnego kroku, aby zapobiedz złemu lub odzyskać dziecko, które zmusił do nieposłuszeństwa. Wymówek żony słuchał milcząc, na łzy jej patrzał obojętnie, chociaż w duszy bolał nad tym wypadkiem, który przypisywał tej, co dziecko jego wychowała nie według surowych dawniejszych zasad, ale pozwalała głowie i sercu Emilki błąkać się po jakimściś świecie którego nie pojmował. Tyle tylko powiedział:

— „Miałem dwie córki, teraz mam tylko jednę, proszę bardzo, żebym więcej o niej nie słyszał. Źleś ją wychowała, teraz masz skutki. Jeżeli jej tak dobrze bez mojego mienia i bez mojego błogosławieństwa, niech używa losu, jaki sobie własnym rozumem wybrała. Jeżeli żyć będę, postaram się ochronić od podobnych romansów tę, co mi pozostała.“ I odtąd w domu p. Jana żadnej o Emilce nie było wzmianki. Cichaczem tylko matka z Rózią o niej rozmawiały, sekretnie dowiadywały się o jej zdrowiu i powodzeniu, a choć to było tak blisko, choć serce ciągnęło, nie śmiała biedna kobieta przesłać dziecku ulubionemu słów pociechy i przebaczenia, nie śmiała nigdzie z nią zjechać się ani w kościele, ani w żadnym sąsiednim domu. Często jednak czem mogła pomagała jej w sekrecie, odesłała jej całą garderobę z tym zapasem w płótnach i materyach, które na jej wyprawę przygotowywała, obdarzała bez wiedzy męża różnemi specyałami ze swojej bogatej spiżarni, wyprawiała furami drób i inne zapasy, które się znajdowały w jej dyspozycyi, ale nigdy żadnem słówkiem, żadnym liścikiem, który dla niej byłby daleko droższym, nie pocieszyła i nie uspokoiła jej serca.

P. Jan wiedział bardzo dobrze o tych wszystkich przesyłkach, które szły co miesiąc prawie do ubogiego folwarku p. Tytusa; żadnem jednak słowem nie dawał poznać, że postrzega to wykroczenie przeciw jego zakazowi. A gdy ludzie donosili pani, że pan widział podwode, pytał się dokąd przeznaczona i nic nie mówił, gdy pani Janowa spodziewając się jego zmarszczenia lub wymówek, żadnych nie odbierała, i przekonała się że mąż na te jej postępki patrzy przez szpary i udaje, że o niczem nie wie, nie tylko że częściej i obficiej zasilała córkę, ale w sercu jej wzrosła nadzieja, że mąż da się z czasem przebłagać i ugiąć, że przyjdzie wreście ta rozkoszna chwila, w której ulubione dziecię swe i zięcia, który je otaczał niewypowiedzianą miłością i staraniami, pod dachem swym utuli i do serca swego przyciśnie.

Tak przeszedł rok cały, a nic się nie zmieniło w położeniu Emilki i w trybie domu p. Jana. Rózia rosła, stawała się coraz piękniejszą, coraz rozsądniejszą, ale straciła tę żywość szczęśliwego dziecka, któremu się wszystko uśmiecha, przez którego głowę nie przeszła jeszcze żadna poważniejsza myśl życia, którego serca nie dotknęła żadna z tych trosk i prób ciężkich, jakie często dość wcześnie otwierają oczy, każą się zastanawiać i nad dalszą koleją zadumać. Postępek Emilki, jej osierocenie, jej gorąca chęć obaczenia się znowu pod dachem rodzicielskim, mimo miłości męża i szczęścia jakiego używa, zmieniły zupełnie usposobienie tego miłego dziecka, i czoło Rózi częstem zachodziło zamyśleniem, a przedwczesna dojrzałość spędziła śmiech z jej ustek, wygnała spiewkę z jej serca i wszelką swywolę i psoty z jej głowy. Widział to p. Jan, domyślał się powodów, ale żadnego nigdy nie czynił jej zapytania, bojąc się, aby mu nie odpowiedziała: „Sameś temu winien ojcze! przywołaj Emilkę, pobłogosław jej, a będę znowu wesoła i szczęśliwa.“ (D. c. n.)

Ptak w usługach człowieka.

„Skąpy rolnik!“ — zawołał niegdyś Wirgiliusz, a wypowiedział temi słowy prawdę niezbitą. Zaślepiony chciwością, omamiony pozorami, poprzysiągł rolnik nieprzebłaganą

nienawiść, doszczętną zagładę ptakom, swoim największym dobroczyńcom w rzeczywistości. Ubolewa srodze nad każdem ziarnkiem, uniesionem przez skrzydlatego mieszkańca powietrza, a nie pomni że bez jego pomocy ziarnko to nie dojrzałoby może na ziemi.

Nie zastanawiając się głębiej nad istotą rzeczy, nie postrzega bynajmniej cudownej harmonii, która panuje w naturze, i której nikt bezkarnie nie może naruszyć. To też na własną zgubę sroży się zaciekle przeciw swoim pomocnikom w pracy, wytępia ród wróbli i innych ptaków, bez których pomocy jego zasiew nie przyniósłby plonu, trud nie uwieńczył się nagrodą. A jakby ku jawnej przestrodze nieraz już pomściły się owady za prześladowanych ptaków, i skorzystały wybornie z nieroztropności ludzkiej. Na wyspie Bourbon nałożył rząd cenę na głowy wróbli, a dziś z ubytkiem ptactwa stała się cała wyspa pastwą żarłocznej szarańczy, pustoszącej do szczętu najżyzniejsze niwy. Takiesame skutki pociągnęło za sobą gdzieniegdzie w północnej Ameryce wytępienie dzięciołów. Niedawno też przekonano się w Węgrzech, że jedynie nasz łupiezki, tak wielce znienawidzony i tak srodze prześladowany wróbel zdolen jest uchronić sady i pola od spustoszeń chrząszczów i tysiąca innych skrzydlatych wrogów roślin. Przed kilkunastą laty polowano w pobliżu francuzkiego miasta Rouen z wielką zawziętością na wrony, a z czasem rozmnożyły się w tej okolicy tak nieprzejrzane ćmy chrząszczów i innych owadów, że całe łany ulegały zupełnemu zniszczeniu.

Każda praca rąk ludzkich musi opierać się na znajomości praw natury. W mądrej ekonomii przyrody niemasz jednak żadnego urządzenia, któreby istniało samo dla siebie, bez odpowiedniego związku z drugiem lub trzeciem.

Bezbronne życie roślin, nie mogących poruszać się z miejsca, nie zdołałoby w żaden sposób ujść zupełnej zagłady, gdyby nie czuwali nad niem ptacy, najsrożsi nieprzyjaciele owadów i wszelkich zwierzątek pasożytnych.

W krajach gorących, przepełnionych tłumem różnych potworów, objawia się podobna walka ptaków z owadami bardzo widocznie, w naszym klimacie toczy się ona w ukryciu, w cichości, lubo z równą a może nawet większą jeszcze zaciekłością, u nas bowiem całe życie natury ma bardziej skryty i tajemniczy charakter.

W krajach gorących olbrzymie owady wyniszczają tylko zbytkowe zapasy natury, u nas dobierają się do zasobów, niezbędnych istnieniu reszty stworzenia. Tam żywią się one dzikiemi roślinami, samorodnemi płodami puszcz, u nas łupią łany, ręką ludzką zasiane, znojem ludzkim uprawione.

Przestraszeni jednego lata niezwyczajną mnogością owadów, nie spuszczajmy się ze wszystkiem na zimę nadchodzącą. Mróz wytępi wprawdzie i najliczniejsze ćmy tych stworzeń szkodliwych, lecz nie zejdą one ze świata, nie pozostawiwszy w stosownych miejscach dwójnasób obfitszego zarodu pokoleń przyszłych. Po części w kształcie jaj, częścią w skorupach poczwarek, częścią w dojrzałych już postaciach spoczywają ci niewidzialni pustoszyciele w łonie ziemi, czekając pierwszych promieni ożywczego ciepła.

A skoro tylko owionie ziemię balsamiczny oddech wiosny, to w jednej chwili ożywi i poruszy się wszystko w głębi i w górze, i zaczną wylęgać się ze wszystkich stron nieprzeliczone roje żarłocznych nieprzyjaciół wszelkiej roślinności. A każdy rój spieszy za rojem w zadziwiającym szyku i ładzie. Każdy ma swoją własną porę, swój własny dzień i miesiąc, a wszystkie razem tworzą jedną olbrzymią armię, przeznaczoną do zniszczenia pracy rąk ludzkich. A przytem jakże ściśle trzymają się wszystkie systemu podziału pracy; każdy rój zna naprzód swoje właściwe stanowisko, i nie omyli się nigdy, każdy trafi na oślep do swojego drzewa, do swojej rośliny. A ogólna ich liczba jest tak olbrzymia, że na każdy listek drzewa przypadają miliony do wyżywienia.

I cóż w takim razie pozostaje przedsięwziąć biednemu i słabemu człowiekowi. Możeż wytrwać im w boju? Maż skrzydła aby im dotrzymać kroku, wystarcza mu oczu aby ich dostrzedz w różnych kryjówkach? Może je wprawdzie zabijać, niszczyć, co mu sił i chęci stanie, lecz to nie zaradzi bynajmniej złemu. Na miliony zabitych pozostaną miliardy żyjących. Ani miecz ani ogień nie pomogą w tym razie. Bez pomocy ptaków człowiek nie podołałby walce, a nawet nie potrafiłby się ustrzedz od tych owadów, co nie tykając roślin, żywią się jedynie krwią zwierzęcą.

Niezmierna ilość owadów odpowiada w stosunku liczbie ptaków, które właśnie wtedy uwijają się najwięcej za żerem, kiedy roje owadów zaczną pojawiać się na ziemi. W tej porze wylęgają się zazwyczaj młode pisklęta, a dla uśmierzenia ich głodu potrzeba rodzicom pilniej ubiegać się za żywnością. W ja-

kimże bylibyśmy jednak niebezpieczeństwie, gdyby ptaki jak zwierzęta mlekiem karmiły swoje młode, i polowały jedynie dla siebie samych, dla nasycenia tylko własnego żołądka. Owady stałyby się w takim razie najdotkliwszą plagą świata. Na szczęście nie może nigdy przyjść do tego, bo głodne gardziołki świeżo wylęgłych piskląt zniewalają ptaków do tem zawziętszego polowania właśnie w najlepszej do tego porze. Jakże rączo naprzykład musi zwijać się na wiosnę sikorka, aby nasycić swoje liczne zazwyczaj potomstwo, któremu na dzień nie wystarcza trzysta gąsienic. Z jak szczególniejszym sprytem i jaką zręcznością polują drozdy i szpaki po świeżym deszczu wiosennym. A nawet wróbel ileżto przebiegłości i zwinności objawia on w swoich zwyczajnych łowach gąsienic, z jaką też szybkością nieprześcigniona goni jaskółka za lada drobniutkim komarem.

Czy godzi się więc żałować temu lub owemu ptaszęciu lichego ziarnka zboża, dojrzałego po większej części przy jego pomocy i staraniu? I nie należałożby mieć niejaką wdzięczność nawet dla najszkodliwszych na pozór ptaków?

Babilońska wieża. *Journal de Constantinople* podaje ciekawe szczegóły o nowych odkryciach archeologicznych p. *Place*, francuzkiego konzula w *Mossule*. Najbardziej zajmuje opis gruzów z dawnej wieży babylońskiej. Z ośmiu piątr tego olbrzymiego gmachu pozostały dotąd dwa piątra, uderzające widokiem z odległości mil kilku. Kamienna posada gmachu obejmuje przestrzeń 194 metrów kwadratowych. Cegły murów, wypalone z najczystszej gliny i białe jak wapno, mają z wierzchu napisy. W pobliżu płynie małe źródło smolne, co zupełnie zgadza się z pierwszym rozdziałem księgi rodzaju. Pod gruzami odgrzebano wiele drogich kamieni i różne rodzaje monet. P. *Place* zdjął kilka fotograficznych rysunków ruin i okolicy.

Handel śniegiem zatrudnia i wyżywia w pobliżu góry Etny czasami do kilkuset ludzi. Towar ten rozchodzi się ztąd nietylko do Sycylii ale i do reszty Włoch. Wieśniacy zbierają go na szczycie góry i w wielkich kupach sprzedają na funty handlarzom, którzy go pod okryciem z słomy i płótna w dalekie wysyłają strony. Funt takiego śniegu kosztuje we Włoszech dwa do cztery groszy.

Rajskie łoże. Słyszeliśmy nieraz o sławnej „magnetycznej rószczce“ *Mesmera*, o „przedłużającej życie herbacie“ hrabiego *St. Germain* i „życiodawczym elixyrze“ *Cagliostra*. Najmniej znanym z wszystkich podobnych środków cudotworczych byłoby takzwane *rajskie łoże*, wynalezione w zeszłym wieku przez angielskiego doktora *Graham*. Obok tysiącznych innych niepojętych przymiotów posiadało ono tę osobliwszą własność, że każdego kto się w nie ułożył, ozdrowiało od razu ze wszystkich chorób i defektów, a pokrzepiwszy go dwójnasób większemi siły żywotnemi, wprowadzało nadto w jakiś nieodgadniony stan rozkoszy i zachwycenia. Twierdzono wówczas powszechnie, że człowiek któryby co nocy mógł sypiać na tem łożu, doszedłby niezawodnie lat Metuzalowych. Na nieszczęście nie był nikt tyle bogatym, aby nabyć ten sprzęt cudotworczy, kosztujący trzy czy cztery miliony u wynalazcy. Tylko kilku majętnych a nazbyt łatwowiernych ludzi okupywało sobie za drogie pieniądze pozwolenie do przepędzenia dwóch lub trzech godzin w cudownem łożu rajskiem. Wszakże mimo to wszystko niebardzo wiodło się panu *Graham*, bo po niewielu latach cudotworczego zawodu uwięziono go za długi, a rajskie łoże rozebrano w kilku części i sprzedano w drodze publicznej licytacyi. Niemiecki lekarz *Hufeland*, znany autor dzieła „Sztuki przedłużenia życia ludzkiego“, opowiada że wtedy dopiero wyjawiła się tajemnica *rajskiego łoża*. Według jego opowiadania były cudowne własności łoża skutkiem „mieszaniny rozmaitych płynów elektrycznych, i różnych zapachów, upajających zmysły, które wraz z akordami nader dźwięcznej muzyki działały na całą istotę spoczywającego na łożu człowieka. A w samej rzeczy można było doznać w tym stanie niepojętej rozkoszy, lecz rozkosz ta wywierała najzgubniejsze wpływy na całą naturę ludzką.“ Po tem odkryciu nie troszczono się więcej o cudotworcze łoże, które w swoim czasie niemało w świecie narobiło wrzawy, a przypominało poniekąd owe jabłko czarowne, ów cudowny kobierzec, ową latarnią zaklętą o których tyle naczytaliśmy się w powieściach Szeherezady.

Dziwaczka. W *St. Amand* we Francyi zmarła temi czasy pewna niemłoda kobieta, znana na kilkanaście mil w okolicy z różnych dziwactw osobliwszych. Byłato córka majętnego szlachcica francuzkiego, nazwiskiem Amalia B. Zamknąwszy się sama jedna w swojem mieszkaniu na wsi, przepędziła ona dwadzieścia lat w zupełnem odosobnieniu. W ciągu tego czasu żyła jedynie z jarzyn i owoców, nie mogąc znieść samego widoku mięsiwa. Szczególniejsza ta antypatya dochodziła do tego stopnia, że nikt z jadających mięso nie śmiał nawet przybliżyć się do jej pokoju. Obcych ludzi przypuszczała do siebie tylko w piątek, mniemając że w ten dzień post ustrzegł ich od jedzenia mięsa. Z całym zresztą światem zewnętrznym obcowała jedynie za pomocą małego otworu, znajdującego się u drzwi jej pokoju. Tym otworem rozmawiała się z służącymi, zwierzała się spowiednikowi, i naradzała się z lekarzem. Jeśli kiedy koniecznie musiała dotknąć się cudzej ręki, tedy brała natychmiast zimną kąpiel, a cały dzień nie mogła już odzyskać zwyczajnego usposobienia. Lekarz śmiał tylko wtedy macać jej pulsu, jeśli zaręczył honorem i sumieniem, że już od trzech dni nie jadł mięsa. Przy tem wszystkiem byłato w innych względach wcale rozsądna kobieta, świadoma każdego swojego uczynku, i umiejąca się wybornie rządzić w gospodarstwie. Umierając zapisała cały majątek swojej starej służącej, która nieprzerwanie dzieliła jej szczególniejszy tryb życia, i która napościwszy się przez tak długie lata, teraz dopiero zasmakuje w potrawach mięsnych, i odwetuje sobie hojnie przykre i nudne pustelnictwo.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.**

Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej